

Jan Radożycki

Moje spotkania z adwokatami

Palestra 38/3-4(435-436), 85-89

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Radożycki

Moje spotkania z adwokatami

Dzień 16 sierpnia 1947 roku pozostanie dla mnie na zawsze niezapomniane. Nie dlatego że był to dzień pogodny lub żeby mnie w nim coś bardzo miłego spotkało, lecz przeciwnie, dlatego że ten dzień zapoczątkował moją dziesięcioletnią niedolę przebywania w nieludzkich warunkach w więzieniach PRL. Tego właśnie dnia wyszedłem w radosnym nastroju, lekko ubrany na praski brzeg Wisły, aby jeszcze zażyć słońca i kąpieli, nim lato dobiegnie końca.

Wychodząc z domu przy ul. Zajączek 13, mimochodem wspomniałem współmieszkańcom, dokąd się wybieram. Kiedy wracałem z plaży, zastąpiło mi drogę dwu panów i poprosiło, abym wszedł do stojącego obok samochodu, ponieważ chcą mnie zabrać ze sobą w celu wyjaśnienia pewnej drobnej sprawy. Wsiadłem do auta i jadąc przez most, łudziłem się jeszcze, że to może być coś związanego z handlem, który przygodnie uprawiałem, aby mieć jakieś środki do życia i móc kontynuować studia anglistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedy jednak samochód skręcił w stronę ulicy Koszykowej, wiedziałem, co się święci. Wylądowałem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Aresztowano mnie pod zarzutem nieujawnienia swej przynależności do AK w czasie okupacji niemieckiej oraz prowadzenia nielegalnej działalności przeciwko PRL. Po dwu-

tygodniowym pobycie w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, w czasie którego kilkakrotnie mnie przesłuchiowano i grożono mi ciężkimi konsekwencjami, jeśli nie powiem wszystkiego, co wiem, o nielegalnej organizacji, do której należałem, przewieziono mnie do Więzienia Mokotowskiego w Warszawie i umieszczono w celi X Pawilonu znanego z okrucieństw stosowanych w śledztwie. I tak wszelki słuch o mnie zaginął.

W czasie śledztwa żaden więzień polityczny nie mógł utrzymywać kontaktu z nikim poza więzieniem, nawet z najbliższą rodziną, a między celami obowiązywała ścisła izolacja. Była to metoda działania „bezpieki”: aresztowanie ludzi na ulicy i nieudzielanie o nich co najmniej przez trzy miesiące żadnej informacji. Tymczasem rodziny na próżno poszukiwały zaginionych osób, a jeśli o mnie chodzi, to usiłowano się dowiedzieć, czy nie utopiłem się w Wiśle.

Po ciężkim śledztwie, w którym zapoznałem się z całym arsenałem środków udręki, które doprowadziły mnie do zupełnego wyczerpania fizycznego i psychicznego, dano mi do podpisu akt oskarżenia, ale nie pozwolono mi go przeczytać. Mimo to złożyłem swój podpis wiedząc, co spotkało kolegę z celi, który wzbraniał się to uczynić, ale srodze pobity nie chciał ryzykować zdrowiem i akt ten podpisał.

Przygotowywano więc mój proces i liczyłem się z tym, że będę miał spotkanie z jakimś adwokatem. I tu stanąłem przed problemem, jak się w takim wypadku zachować. Już wtedy powszechnie było wiadomo, że są adwokaci, którzy wykorzystują zaufanie, jakie normalnie oskarżeni mają do swoich obrońców i stosując różne podchwytliwe pytania zdobywają od więźniów wiadomości, które udało im się utajnić w czasie śledztwa. Za to zaufanie oskarżeni często słono płacili. Byli adwokaci, którzy wyciągali od rodziny oskarżonego ostatnie grosze rzekomo w celu uratowania go od śmierci, a potem okazywało się, że więzionego stracono. Szczególnie często padało w tym kontekście nazwisko znanego wówczas adwokata. O tym wiedziałem, dlatego zastanawiałem się, jak mam poprowadzić rozmowę ze swoim adwokatem.

Pewnego dnia zaprowadzono mnie do celi, w której czekał na mnie mój adwokat. Na wstępie przedstawił się jako mój obrońca Niedzielski i poinformował mnie, że go wynajął mój przyrodni brat Ludwik Pituch. Potem rzekł do mnie:

– Ja nie będę o nic pana pytał, czy pan to rozumie?

– Tak – powiedziałem – doskonale to rozumiem.

Następnie oświadczył, że ja mogę go o wszystko pytać. Gdy więc chciałem się dowiedzieć, na jaką przypuszczalnie karę mogę być skazany, odpowiedział, że na 10 do 15 lat.

– Niech pan się nie łudzi – wyrok już na pana zapadł tutaj. Proces będzie czystą farsą, ale ja mimo to będę pana bronił, przysłuchując się temu pilnie, co pan będzie mówił, ustosunkowując się do aktu oskarżenia.

Zapytałem go w końcu, skąd ja mogę znać jego nazwisko, gdyż wydaje mi się, że je gdzieś słyszałem. Odpowiedział, że przypuszczalnie stąd, iż był obrońcą generała T. Rozwadowskiego, szefa sztabu generalnego armii polskiej w 1920 roku.

Na rozprawie, na którą dopuszczono tylko kilka osób z rodziny i spośród znajomych, poprosiłem sąd o odczytanie aktu oskarżenia i potem zbijałem niektóre zarzuty jako nieprawdziwe oraz oświadczyłem, że motywem mojej działalności podczas okupacji niemieckiej i późniejszej była troska o los narodu, o wolność i niepodległość kraju. Potem zabrał głos mecenas Niedzielski, który obronę zaczął od słów:

– Wysoki Sądzie! Ten proces jest jakimś nieporozumieniem. Kogóż to widzimy na ławie oskarżonych? Pedagoga, który kształcił dzieci robotnicze w Łodzi, brał udział w kampanii wrześniowej, w czasie której stracił oko, uczestniczył w tajnym nauczaniu i walczył w ramach AK przeciw okupantowi niemieckiemu.

Słowa te wypowiedziane tubalnym głosem tak mnie wzruszyły, że miałem łzy w oczach, choć nigdy ich nie uroniłem, gdy mnie torturowano. W więzieniu byłem poniewierany, wyzywany od zdrajców, sprzedawczyków Polski i obrzucany najgorszymi wyrazami, że gdy pewnego razu nie mogłem po śledztwie dojść do celi o własnych siłach, a prowadząca mnie kobieta powiedziała do mnie:

– Możecie sobie odpocząć, ja poczekam – (normalnie w takim wypadku kopano i bito tego, kto nie mógł iść), wydało mi się, jakby naprawdę przemówił do mnie jakiś anioł. Dlatego słowa-

mi mecenasa Niedzielskiego byłem do głębi wzruszony. Brat, z którym mogłem w czasie przerwy parę słów zamienić, powiedział do mnie uradowany po tej obronie: – Pewnie cię zwolnią.

Upowiedziałem go, jaki prawdopodobnie czeka mnie wyrok. Skazano mnie na 10 lat więzienia i utratę publicznych praw obywatelskich na 5 lat.

Mecenas Niedzielski nie był jedynym uczciwym obrońcą, z którym zetknął mnie los przy różnych życiowych okazjach. Przed wojną pracowałem w szkole średniej w Łodzi i należałem do Sodalicii Mariańskiej Inteligencji Męskiej. Tam poznałem dwu wybitnych adwokatów: mecenasa Kazimierza Kowalskiego, prezesa okręgu łódzkiego Stronnictwa Narodowego i obrońcę biedoty polskiej w Łodzi straconego przez Niemców zaraz po ich wkroczeniu do tego miasta, drugim był mecenas Roszkowski, gorący katolik i patriota, który również był działaczem politycznym (Stronnictwa Narodowego) i społecznym. Syn jego Leszek, którego znałem osobiście, był wychowany w duchu katolickim i narodowym i brał udział w powstaniu warszawskim (w którym stracił żonę). Po wojnie działał w podziemnej organizacji NZW (Narodowym Związku Wojskowym). Aresztowany przez „bezpiekę” został wraz z kolegami Morawicem i Zawadzińskim rozstrzelany w Więzieniu Mokotowskim.

Przed wojną miałem możliwość być na odczycie sławnego adwokata Szurleja pt. *Sumienie adwokata*. Kwintesencja jego wywodu zawierała się w zdaniu, które kończyło odczyt i brzmiało tak: „Nie ma takich pieniędzy, za które podjąłbym się obrony sprawy brudnej, ani też nie ma słusznej sprawy, której nie chciałbym bronić także w wypadku,

gdybym musiał to czynić bez pieniędzy”.

Życie w PRL zaczęło się dla mnie od więzienia. W marcu 1945 roku zostałem po raz pierwszy aresztowany w bardzo dramatycznych okolicznościach. Udałem się mianowicie w czasie ferii wielkanocnych rowerem z Jarosławia, gdzie uczyłem łaciny w szkole średniej, przez Rzeszów w rodzinne strony, to jest do Bukowska koło Sanoka. Zatrzymałem się na rynku w Rzeszowie, aby kupić trochę tytoniu dla krewnych i znajomych palaczy, gdy nadjechało i zatrzymało się pełne pasażerów auto ciężarowe, jadące do Krakowa. Nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła, posługując się moim okupacyjnym pseudonimem. Był to najwybitniejszy partyzancki dowódca na Podkarpaciu, Józef Czuchra („Orski”), z którym często się spotykałem jako szef propagandy w obwodzie sanockim AK. W roku 1944 sowieci i nasi ubecy otoczyli dom, w którym on przebywał, aby go aresztować. „Orski” zdołał się jednak wymknąć, ostrzeliwując się i raniąc niektórych oblegających dom. Od tego czasu był bardzo tropiony przez „bezpiekę” i prawdopodobnie wysłędzono, że wsiadł do tego auta, gdyż ledwie zamieniliśmy ze sobą kilka słów, dwóch cywilów podeszło niespodzianie do „Orskiego” i pochwytiło go za ręce, widocznie wiedząc, że ma broń, a mnie trzeci ubek przystawił do piersi pistolet i zawołał: – Ręce do góry.

Obu nas zaprowadzono do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Rzeszowie na czwarte piętro. „Orski” zawsze zapewniał, że nigdy nie da się wziąć żywcem, a tymczasem...

Przy rewizji zabrano „Orskiemu”

dwa pistolety, a mnie kompromitującą literaturę antykomunistyczną. „Orski” był główną postacią, którą zajmowali się ubecy uradowani, że udało im się pochwycić takiego asa podziemia. Mimo że obsypywali go obelżywymi wyrazami i wymyślali od bandytów i zdrajców, oraz grozili szubienicą, on z zimną krwią starał się dyskutować z nimi i odwrócić ich uwagę od pistoletu, który niebacznie pozostawili na stole. W pewnej chwili wyciągnął rękę i porwał ten pistolet, otworzył ogień do ubeków i szybko zbiegł po schodach na parter, lecz nie mógł się wydostać na zewnątrz przez bramę, której strzegł specjalny stróż na chronionym stanowisku i otwierał ją tylko po okazaniu odpowiedniego dowodu. Wybiegłem z pokoju za „Orskim”. Nim dotarłem do I piętra zobaczyłem, że „Orski” groził strażnikowi pistoletem, żądając otwarcia bramy i nawet oddał strzał w jego kierunku, lecz nadbiegło kilku uzbrojonych funkcjonariuszy UB i widziałem, jak w strzelaninie, która się wywiązała, „Orski” został śmiertelnie ugodzony kilkoma strzałami i padł na ziemię.

Widząc to, co się stało, pobiegłem z powrotem, tam gdzie byłem poprzednio, i zastanawiałem się, co będzie ze mną. Przełożyłem „trefną” literaturę na rzeczy „Orskiego” i stałem oszołomiony tym, co się wydarzyło, w kącie sali. Po chwili wpadło dwóch ubeków, z których jeden wyciągnął pistolet i wycelował we mnie, wołając:

– Zabiję tego sukinsyna współnika – ale drugi ubek podbił mu w ostatniej chwili rękę i skarcił:

– Nie strzelaj, on nam może dużo powiedzieć. Na razie ocalałem. Wtrącono mnie do więzienia i zaczęło się śledztwo. Nie przyznawałem się do znajomości

z tym człowiekiem i twierdziłem, że moje spotkanie z nim było czysto przypadkowe. W celi podszedł do mnie współwięzień p. Mickiewicz i ostrzegł mnie przed „kapusiami”, którzy mieli na pry-czy miejsca obok mnie i z pewnością otrzymali zadanie wybadania, za co zostałem uwięziony i skąd znam zabitego aresztanta. Była to cenna informacja dla mnie. Mogłem bowiem nie tylko wystrzegać się jakiegokolwiek wypowiedzi, która by budziła choćby najmniejsze podejrzenie ubeków co do mojej osoby, a z drugiej strony przez tych kapusiów utwierdzać prowadzących śledztwo, że rzeczywiście jestem niewinny. Śledztwo trwało cztery miesiące, a ponieważ nie znaleziono przeciwko mnie żadnego dowodu, postanowiono mnie z więzienia zwolnić. Przedtem jeszcze wychodził na wolność p. Mickiewicz i żegnając się, powiedział do mnie: – Proszę zapamiętać mój adres i po wyjściu z więzienia udać się prosto do mojego domu, aby się odwszawić.

W więzieniu tym wszyscy bowiem byli okropnie zawszawieni. Tak też uczyniłem. Udałem się do domu p. Mickiewicza, który dał mi bieliznę i ubranie, a moje zawszawione łachy zabrał i spalił. Mnie zaś przedtem zaprowadził do łazienki i polecił kilkakrotnie namydlić się i splukać pod prysznicem, aby pozbyć się wszy. Była to duża przysługa, tym bardziej że w tym czasie miałem tylko jedno ubranie, to które zostało spalone.

Zamieszkałem w Warszawie i przez pewien czas współpracowałem z adwokatem Aniołem Kozłowskim (pseud. „Ślepowron”) z Lublina. Wozilem do niego pieniądze jako pomoc dla rodzin, których mężowie czy ojcowie zostali

aresztowani bądź rozstrzelani albo też ratowali się ucieczką. Kiedy później już sam znalazłem się w Więzieniu Mokotowskim, zabrano mnie z celi, lecz nie wiedziałem dokąd i w jakim celu. Dopiero w małej salce, do której mnie wprowadzono, poinformowano mnie, że mam wystąpić jako świadek w sprawie więźnia Anioła Kozłowskiego.

Sąd, który przybył z Lublina, składał się z trzech osób: sędziego, prokuratora i obrońcy. Zapytano mnie, jakie pieniądze wozilem do Lublina – krajowe czy także przysyłane z zagranicy. Wiedziałem, o co temu sądowi chodziło: o potwierdzenie, że były to pieniądze z Londynu, a więc szpiegowskie, co od razu pozwoliłoby skazać adwokata Kozłowskiego na 10 lat więzienia. Oświadczyłem, że ja przywoziłem pieniądze tylko poakowskie, krajowe i z żadnymi pieniędzmi z zagranicy nie miałem nic wspólnego. Adwokat, usłyszawszy moją odpowiedź, zwrócił się do mnie z prośbą, abym jeszcze raz jasno powiedział, jakie to były pieniądze. Powtórzyłem, że z całą pewnością były to pieniądze krajowe i że ja z żadnymi pieniędzmi z zagranicy nie miałem nic wspólnego. Adwokat poprosił sąd o zaprotokołowanie tych słów. Przewodniczący zaś, zwracając się do obrońcy mecenasa Kozłowskiego, oświadczył, że zaraz się zjawi mój

przełożony i całą sprawę wyjaśni. Kiedy mnie odprowadzono, po drodze na korytarzu mijałem swego przełożonego Tadeusza Macińskiego, członka zarządu Stronnictwa Narodowego, któremu zdążyłem szepnąć jedno słowo: „poakowskie”. On zaś skinął głową na znak, że rozumiał i jak później się dowiedziałem zeznał, że on rozdzielał pieniądze tylko poakowskie i innymi nie dysponował. Tak więc nasze zeznania uwolniły mecenasa Kozłowskiego od zarzutu rozprowadzania „szpiegowskich” pieniędzy, co znacznie skróciło jego pobyt w więzieniu.

W więzieniach w Warszawie i we Wronkach poznałem kilku adwokatów, którzy zostali w nich osadzeni jako wrogowie władzy ludowej. Byli to adwokaci: Włodzimierz Bilan, działacz Stronnictwa Narodowego z Przemyśla (zmarł w więzieniu we Wronkach), Witold Bayer z Warszawy (uczestnik Powstania Warszawskiego) i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Wszyscy oni z tysiącami innych więźniów ponosili konsekwencje tego, że byli dobrymi Polakami. Myślę, że skoro „hańba domowa” stała się udziałem także naszej palestry, tym bardziej należy pamiętać o tych, którzy nie tylko się nie zbrukali, ale dzielnie bronili honoru adwokata, ryzykując nie tylko więzieniem, ale nawet życiem.

Nota o autorze: *Jan Radożycki, ur. w 1911 r., profesor szkoły średniej, żołnierz walczący w kampanii wrześniowej 1939 r., członek sztabu sanockiego obwodu AK, uczestnik tajnego nauczania, wieloletni więzień w okresie stalinowskim, tłumacz szeregu dzieł autorów starożytnych i nowoczesnych oraz autor prac z zakresu bibliotekarstwa i informacji naukowej.*